Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część II.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Wyspa Fogo. Widok z samolotu.

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

W **Calhau** mocno świeci księżyc. Morze i góry na pobliskiej Świętej Łucji połyskują jego srebrną poświatą. Powrót do **Mindelo**. W domu José Heleno czysto i przytulnie. Słuchamy nagrań rozmaitych miejscowych wykonawców. Poznaję jego uroczą rodzinę: żonę Manuelę, syna Tierry'ego i prześliczną córeczkę Joyce. Kolacja i odjazd do hotelu, a przedtem jeszcze spacer po *Praça Nova* (Nowym Placu), najbardziej ożywionej o tej porze części miasta.

Nazajutrz, gdy o siódmej rano miałem już bilet na duży statek odpływający godzinę później na **Wyspę Santo Antão**, w porcie zjawia się José Heleno, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Umawiamy się na godzinę 18-tą. Podróż trwa godzinę. Skaczące delfiny. W **Porto Novo** na Santo Antão wsiadam do mikrobusu jadącego do **Vale do Paúl** (Mokrej Doliny), jednego z ciekawszych miejsc na Wyspie. Stromo pod górę przez południowe, jeszcze stosunkowo rzadko porośnięte roślinnością stoki gór. Im wyżej, tym bardziej zielono. Żółte kwiatki o nazwie *lolo* (*Malvastrum spicatum*). Na szczytach mgła i bardzo chłodno. Świerki i japońskie kryptomerie, których tyle na **Azorach** i **Maderze**. Jak bardzo ta cała **Makaronezja** jest podobna pod względem roślinności!

Mindelo, panorama.

Osiągamy wysokość ponad 1500 m i zjeżdżamy w dół, na drugą stronę gór, nad głębokimi przepaściami, drogą nieprawdopodobnie karkołomną. Głębokie doliny, niesamowicie urwiste, a wszędzie na ich zboczach, zupełnie jak na **Maderze**, tarasy z poletkami uprawnymi. Wjeżdżamy stopniowo w strefę tropikalną. I oto czerwono kwitnące tropikalne akacje, te przepiękne drzewa zwane po portugalsku *chama da floresta* (płomień lasu), drzewa mangowe, smukłe papaje. Poziom morza osiągamy w **Ribeira Grande**, stolicy tej wyspy. Skręt w prawo i jedziemy wzdłuż morza, bardzo tutaj wzburzonego. Plaż piaszczystych brak, tylko kamieniste zatoczki wrzynające się w nadbrzeżne strome skały. Kolejny skręt w prawo i wjeżdżamy w

głęboko wciętą **Mokrą Dolinę** *(Vale do Paúl)*.

Serpentynami ostro pod górę, aż do końca drogi asfaltowej, około 18 km od wejścia do doliny. Żółto-czarny motyl pod ścianą bananowców. Wszędzie pną się poletka trzciny cukrowej, poprzetykane plantacjami bananów. Na skraju drogi żółto kwitnący krzew tytoniu (*charuteira*). Nad wyschłym strumieniem, w cieniu mangowca, krzaki kawowe. Nade mną dorodne kielichy czerwonych hibiskusów. W bocznej dolinie chaty kryte słomianą strzechą. Na dnie potoku wielkie sercowate liście jadalnej bulwy *inhame*, zwanej na Kubie *malangą (Colocasia esculenta)*. Po ugotowaniu stanowi ona znakomity dodatek do potraw mięsnych. Wracamy tą samą drogą. Pożeram wzrokiem te wspaniałe drzewa mangowe, drzewa avocado, plantacje manioku, pojedyncze drzewa smocze *(dragoeiros)*, a bliżej morza, gaje palm kokosowych. Niesamowicie pięknie wygląda rozfalowane biało-szmaragdowe morze. Tak samo wyglądało na **Trynidadzie** i nigdzie indziej.

Mokra Dolina.

Mokra Dolina.

Za **Ribeira Grande** podziwiam raz jeszcze usiane tarasami strome zbocza dolin i głębokie przepaście. W jednej z maleńkich wiosek pod samymi szczytami dwie kobiety ubijają drewnianymi tłuczkami kukurydzę w drewnianym cylindrycznym moździerzu *(pilão)*, na zmianę, raz jedna, raz druga. To jest przecież Afryka, bądź co bądź. Po drugiej stronie gór południowe wybrzeże, mniej malownicze, niż północne, wreszcie **Porto Novo**, a na horyzoncie czarny łańcuch gór na **Wyspie São Vicente**. Jeszcze *cachupa* (narodowa potrawa z kukurydzy, fasoli i ryb) i piwo w knajpce koło portu i w niebywały upał odpływamy na **São Vicente**, gdzie w porcie czeka niezawodny i nieprawdopodobnie

punktualny José Heleno i to z jaka wiadomością! Oto idziemy z wizytą do Cesarii Evory, a pomógł w załatwieniu tej wizyty dawny amant bosonogiej divy, niejaki Adriano.

Cesária Évora (1941-2011).

Cize, jak ją pieszczotliwie nazywają rodacy, w swej afrykańskiej barwnej tunice i jakimś zawoju na głowie siedzi za niskim stolikiem na otomanie i nieśmiało uśmiecha się. Oferuje napoje, a na pierwszym miejscu swoją ulubioną whisky. Oglądam dyplomy, liczne złote płyty na ścianach, potem wypytuję o repertuar, teksty, nazwiska autorów. Otóż śpiewa prawie wyłącznie po

kreolsku teksty tylko dobrych uznanych tutejszych poetów. Największy entuzjazm wywołały jej występy w Japonii. Z naszą Kayah śpiewało jej się dobrze. Wkrótce wydaje nową płytę we Francji. Zaprasza mnie na dłuższy pobyt tylko na **Wyspie Świętego Wincentego**, na jej wyspie… W moim kalendarzyku napisała: *Com amor – Cesária Évora* (Z miłością – Cesária Évora). Na pożegnanie wszyscy trzej ucałowaliśmy ją po dwa razy…

Po pożegnaniu z Adriano jedziemy do restauracji *Archote* (Pochodnia) na kolację i występ zespołu *Luar* (Światło księżyca). Jego solistka o imieniu Idília usiadła potem przy naszym stoliku i miło gawędziliśmy. Podana na kolację ryba *garoupa* była wspaniała! Do hotelu wróciłem po pierwszej po północy z lekturą do poduszki: José Heleno sprezentował mi teksty swoich wierszy.

Moździerz do ubijania ziaren kukurydzy.

Nazajutrz, w niedzielę, 12 lutego, przyjeżdża w towarzystwie słodkiej córeczki Joyce i we trójkę jedziemy na plażę **Laginha**, niezbyt odległą od miasta, na północ od portu. Piękna to i dość długa plaża. Pogoda wymarzona, więc kąpiel boska. W przerwach, po wyjściu z wody, śpiewamy na zmianę, każdy swój repertuar. José Heleno zdecydowanie preferuje romantyczne bolera kubańskie i meksykańskie. *Nota bene*, zna dobrze hiszpański, którego nauczył się sam w towarzystwie marynarzy z Ameryki Łacińskiej.

Obiad u niego w domu, gdzie czekają jego żona Manuela i jej matka, bardzo miła pani, wręcz znakomicie się prezentująca. Obie panie przygotowały wspaniałą *cachupę*, autentyczną, nie taką, jak ta, którą jadłem w **Porto Novo**. A więc na talerzu były kawałki gotowanej ryby (w tym tutejszej makreli) oraz *inhame*, maniok i słodkie bataty. Kładło się je na drugi talerz i zalewało gęstą kukurydziano – fasolową zupą. Coś wspaniałego! Na deser znakomity pudding na bazie żółtek, polany karmelkowym syropem. Po obiedzie poprosiłem o zdjęcia z dedykacją i o dedykację na tekstach wierszy gospodarza. Żal było odjeżdżać. Na lotnisko odwieźli mnie wszyscy, ale przedtem jeszcze pojechaliśmy na piękną plażę **São Pedro** (Świętego Piotra), największą, jaką widziałem na Wyspach. Tworzy ogromną podkowę ograniczoną z obu stron górami. Piach stosunkowo jasny, z lekką domieszką czarnego bazaltu. I ani żywego ducha na całej tej ogromnej przestrzeni!

Moi cudowni przyjaciele czekali ze mną na lotnisku do ostatniego momentu, dopóki nie wezwano pasażerów do przejścia kontrolnego. Pożegnanie było bardzo serdeczne. To są przeżycia, których się nie zapomina nigdy! To po prostu jakiś nierealny sen!

Samolot przeleciał nad **São Vicente**, **Santa Luzia**, **Branco** i **Raso**. Potem, w dali po lewej, widać było dobrze **São Nicolau**, a tuż przed lądowaniem w **Prai**, po prawej, wynurzył się nad chmurami olbrzymi wulkan **Pico do Fogo** (2829 m, najwyższy

szczyt Archipelagu), na **Wyspie Fogo**. Lot trwał 50 minut.

Fogo, czyli Wyspa Ognia. Szczyt mierzy 2829 m.

Fogo, czyli Wyspa Ognia. Dolina kotłów wulkanicznych.

W poniedziałek, 13 lutego, w Instytucie Kultury Francuskiej w **Plateau** nabyłem encyklopedię o Wyspach Zielonego Przylądka (niestety, po francusku, bo po portugalsku nie było niczego ciekawego), a we wtorek, 14 lutego, skoro świt pojechałem mikrobusikiem na drugi koniec **Wyspy Santiago**, aż do **Tarrafalu**. Pierwszy etap wiódł do drugiego po **Prai** miasta na tej wyspie, **Assomada**, która leży w samym jej sercu. Mocno zakurzonymi i dość uciążliwymi objazdami najpierw wspinaliśmy się do góry, po czym ciekawą krajobrazowo doliną, mijając tak zwane „organy”, czyli nieprawdopodobnie wyrzeźbione przez wiatr ostre szczyty skalne obok miasteczka **São Jorge dos Órgãos** (Święty Jerzy od Organów), a potem obok widniejącej w

dali po prawej **Santa Catarina** (stolicy okręgu), po dwóch niespełna godzinach dojechaliśmy do **Assomady**.

Assomada w samym środku Wyspy Santiago.

Muzeum **Tabanki** *(Museu da Tabanca)* było jeszcze zamknięte, ale uprzejme panie pozwoliły mi je zwiedzić. Sam budynek jest dość ciekawy, zabytkowy. Otacza go wsparta na smukłych kolumienkach galeria, a w środku stroje „królów", „królowych" Tabanki, czyli sekretnego bractwa wzajemnej pomocy sąsiedzkiej, opartego na tradycjach afrykańskich. Na Kubie podobne bractwo sekretne zwie się *Abakuá*. Poza strojami w

gablotach, jakieś proporce, sztandary, bębny i sporo fotografii z uroczystych pochodów ulicami **Assomady**. To zgoła nieciekawe architektonicznie miasto leży wysoko w górach, a ponadto dzień był wyjątkowo chłodny i pochmurny. Nic dziwnego, że po raz pierwszy i jedyny zmarzłem na tych wyspach.

Kolejnym mikrobusem w kierunku **Tarrafalu,** przecinaliśmy monotonną, brązowo – szarą wyżynę, aż zaczął się ostry podjazd na przełęcz w górach o nazwie **Serra Malagueta**, drugim pod względem wysokości paśmie górskim na wyspie (najwyższy szczyt tego łańcucha ma 1064 m). Wjechaliśmy w chmury i powiało chłodem. Za przełęczą jest las, a w nim małpy, ale z powodu chmur był zupełnie niewidoczny. Tuż za przełęczą nagle ukazał się ocean i widoczny daleko na horyzoncie **Tarrafal**. Pierwszą miejscowością na dole było **Chão Bom**, a w nim słynny "obóz koncentracyjny", czyli więzienie głównie dla więźniów politycznych w okresie rządów Salazara (istniało w latach 1936-1954). Gdy zobaczyłem mury przypominające fortecę z basztami na rogach, powiedziałem kierowcy, że chcę wysiąść przy więzieniu. On tylko skinął głową i gnał prosto przed siebie, aż zatrzymał się w samym miasteczku, na głównym placu przed kościołem św. Amara Opata. Zadowolony z siebie rzekł: „To tu", dając tym dowód „znakomitej znajomości języka Camõesa".

Tarrafal na Wyspie Santiago. Kościół sw. Amara Opata.

Tarrafal. Kościół św. Amara Opata.

Tłum wypełniał plac i kościół, bo właśnie odbywała się jakaś msza żałobna. Nie bacząc na nic, z lekka zdenerwowany, podszedłem do grupki mężczyzn i zapytałem dobitnie: – Przepraszam bardzo, czy panowie mówią po portugalsku? – Tak, proszę pana – padła odpowiedź. Wyjaśniłem sytuację i natychmiast jeden z nich oświadczył, że jest gotów podwieźć mnie do więzienia swoim samochodem. Okazało się, że słusznie wziąłem ową fortecę za dawne salazarowskie więzienie. To ogromny teren z obszernymi barakami dla więźniów, kuchnią obozową, lazaretem. Wszystko otoczone głęboką fosą i drutami kolczastymi. Bardzo przygnębiające wrażenie. W małym baraku, już poza obrębem murów fortecy, wystawa: zdjęcia i relacje

więźniów, lista z nazwiskami pięćdziesięciu z nich, którzy tam dokonali żywota. Ciekawe, że o ile relacje są wstrząsające, o tyle na zdjęciach więźniowie prezentują się dość dobrze, uśmiechnięci, pogodni i wcale nie wygłodzeni… Niemniej ogarnęły mnie bardzo smutne refleksje.

Tarrafal. Więzienie salazarowskie.

Tak zwany obóż koncentracyjny z okresu Salazara. Tarrafal na Wyspie Santiago.

Stopem do miasteczka. Piękna plaża w kształcie podkowy, ale potężny wiatr nawiewa tumany piachu, a morze bardzo rozfalowane. W tej sytuacji kąpiel wykluczona. Nazwa **Tarrafal** powtarza się często na Wyspach i pierwotnie oznacza krzak o wysokości od 2 do 8 metrów, *Tamarix gallica*, czyli francuski tamaryszek. Postanowiłem wracać inną drogą, wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy. Widoki nadmorskie przeszły moje oczekiwania. Droga co kawałek schodzi ku przepięknym zatoczkom, przy których gaje palm kokosowych, pola trzciny cukrowej, plantacje bananowców, znów drzewa mangowe – baśń! W pewnym momencie mignęła mi na gałęzi krzaka kolorowa *passarinha* (dosłownie „ptaszka”), biała, z czarno – niebieskimi

skrzydłami, brązowym podbrzuszem i czerwonym dziobem. Jest to piękny ptak z tej samej rodziny co nasz zimorodek, czego dowodem jest jego łacińska nazwa *Halcyon leucocephala*, czyli mówiąc językiem Słowackiego „halcyjon białogłowy".

W **Calheta de São Miguel** przesiadka do drugiego mikrobusu. Jeszcze jakiś czas droga biegnie wzdłuż morza, ale potem skręcamy ku wyżynie śródgórskiej i krajobraz gwałtownie się zmienia. To tereny pokrytych brązową lawą pól uprawnych z jakimiś drzewami owocowymi o dość rachitycznym wyglądzie. Całe połacie tej ziemi pokryte różnokolorowymi torbami foliowymi, zupełnie jakby ktoś celowo je porozsiewał... Komentarz zbyteczny.

W środę, 15 lutego, powrót. W **Las Palmas** postój trwa tylko godzinę. Za to koczowanie na lotnisku w Amsterdamie przeciąga się do ponad dziewięciu godzin. Leje zimny deszcz i nie ma mowy o spacerze po mieście. Podróż autokarem męcząca. Jest maksymalnie załadowany, ale tylko jedna przesiadka po przekroczeniu polskiej granicy do luźniejszego autokaru. Czy było warto? Jak mówi Fernando Pessoa „wszystko warto, jeżeli dusza jest otwarta!"

Ptaszka, czyli zimorodek z Wysp Zielonego Przylądka.

Fotografie pochodzą z serwisów Flickr i Pinterest

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy

o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria

Calhau na Wyspie Świętego Wincentego.

Calhau na Wyspie św. Wincentego.

Kamieniczki w Mindelo.

Mindelo. Alliance Française.

Mindelo. Nowy Plac.

Mindelo. Nowy Plac.

Mindelo. Ratusz.

Ratusz w Mindelo.

Mindelo. Ulica Angoli.

Mindelo. Plaża Laginha.

Rui Vaz na Wyspie Santiago.

Santiago. Dolina Srebrnego Strumienia.

Santiago. Plaża w Tarrafalu.

Santiago. Święty Jerzy od Organów.

Wyspa św. Antoniego.

Wyspa św. Antoniego.

Wyspa św. Antoniego. Fontainhas.

Wyspa św. Antoniego. Kierat do wyciskania soku z trzciny cukrowej.

Poprzednia część „Dziennika z podróży”:

https://www.cultureave.com/wyspy-zielonego-przyladka-2006-czesc-i/

Kolejna część Wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego ukaże się w czwartek, 13 czerwca 2019 roku.